

KONIEC DYKTATURY BANKÓW?

Ruszyła lawina pozwów przeciwko bankom, które udzielały kredytów hipotecznych w szwajcarskiej walucie



**EWA
WESOŁOWSKA**

dziennikarka

Zadłużeni we frankach po latach milczenia budzą się z letargu. Na forach internetowych, blogach i portalach społecznościowych organizują się w grupy, przekazują sobie instrukcje, jak pisać pisma urzędowe, jakie dokumenty składać do sądów, jak wyliczać roszczenia wobec banków, gdzie szukać fachowej porady prawnej. Efekty widać gołym okiem: z miesiąca na miesiąc przybywa w sądach pozwów od klientów, którzy żądają np. zmiany umów kredytowych czy unieważnienia klauzul walutowych.

Na wojnę z bankami idą zarówno osoby prywatne, takie jak krakowski tłumacz Tomasz Sadlik, który pod koniec ubiegłego roku jako jeden z pierwszych ośmielił się

wystąpić przeciwko Raiffeisenowi, jak i całe zorganizowane grupy składające pozwы zbiorowe.

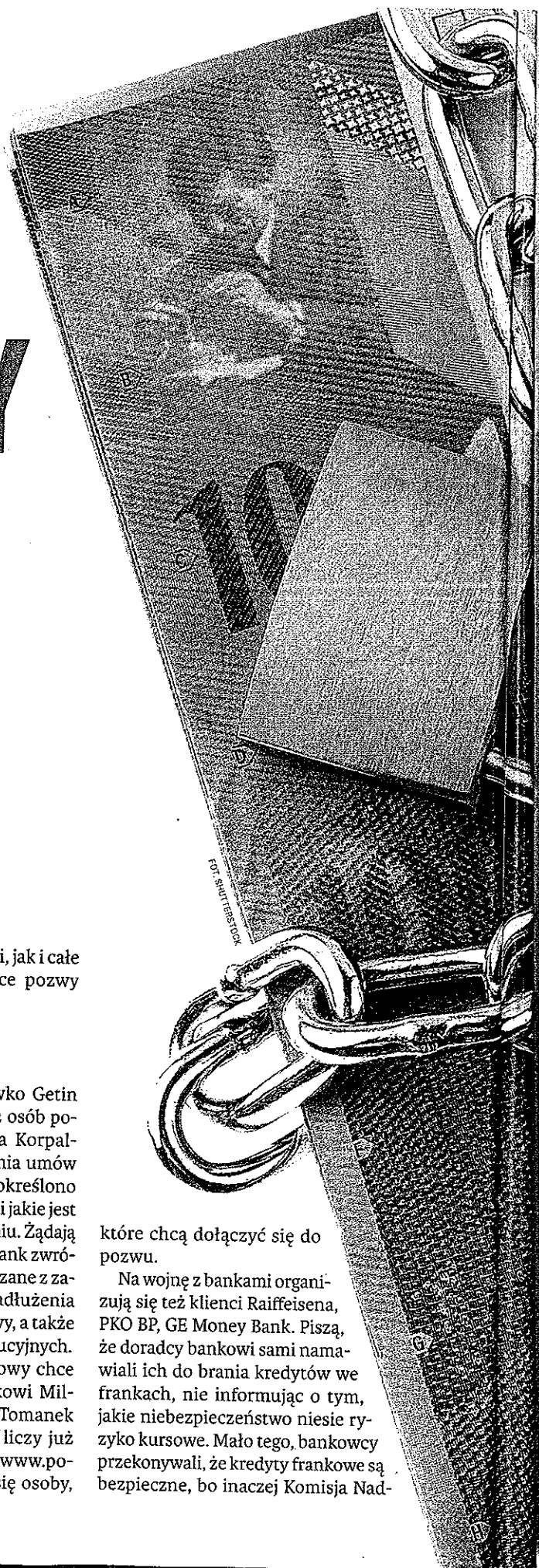
Niebezpieczne procenty

W kwietniu taki pozew przeciwko Getin Noble Bank złożyła w imieniu 92 osób poznańska kancelaria Komarnicka Korpalski. Prawnicy żądają unieważnienia umów kredytowych, twierdząc, że nie określono w nich, ile klient ma spłacać rat ani jakie jest jego zadłużenie po przewalutowaniu. Żądają też, aby po unieważnieniu umów bank zwrócił klientom wszystkie koszty związane z zawarciem umów, przyjął kwotę zadłużenia w złotych z dnia podpisania umowy, a także zrezygnował z przywilejów egzekucyjnych.

Pod koniec maja pozew zbiorowy chce również złożyć przeciwko bankowi Millennium kancelaria Drzewiecki, Tomanek i Wspólnicy. Grupa inicjatywna liczy już ponad 1 300 osób, ale na forum www.pozwalembank.pl wciąż pojawiają się osoby,

które chcą dołączyć się do pozwu.

Na wojnę z bankami organizują się też klienci Raiffeisena, PKO BP, GE Money Bank. Piszą, że doradcy bankowi sami namawiali ich do brania kredytów we frankach, nie informując o tym, jakie niebezpieczeństwo niesie ryzyko kursowe. Mało tego, bankowcy przekonywali, że kredyty frankowe są bezpieczne, bo inaczej Komisja Nad-



zoru Bankowego nie pozwoliłaby ich udzielać. „Mój bank nawet jeśli nie wprowadzał mnie w błąd, to na pewno wykorzystał moją niewiedzę” – pisze jeden z użytkowników forum.

Entuzjazm walczących nakręca wyrok z 30 kwietnia 2014 r., jaki wydał Sąd Apelacyjny w Łodzi. Podtrzymał on rozstrzygnięcie sądu pierwszej instancji w sprawie przeciwko BRE Bankowi. Sędziowie orzekli, że bank ten, pobierając raty kredytu od konsumentów, robił to częściowo bezprawnie (w umowie był zapis, który pozwalał bankowi zmieniać oprocentowanie kredytu decyzją zarządu), a kwoty te podlegają zwrotowi wraz z odsetkami ustawowymi. Pozew zbiorowy złożyła w tej sprawie w imieniu 867 klientów BRE ponad trzy lata temu kancelaria Wierzbowski Eversheds (słynna grupa tzw. „Nabitych w mBank”, w 2012 liczyła ona już 1 247 osób).

Walka z bankiem

W Polsce sprawy klient kontra bank to rzecz nowa. Przyzwyczailiśmy się przez lata, że to instytucja finansowa dyktuje warunki: ustala regulaminy, warunki kredytowania, taryfy opłat. Klient może się co najwyżej nie zgodzić,

ale robi to rzadko, bo przecież chce dostać kredyt, mieć kartę debetową czy konto. Na walkę z sektorem decydowały się tylko jednostki, i to zwykle te najlepiej wyedukowane, rozumiejące zawiłości bankowego języka. Z sondażu przeprowadzonego dla Centrum Prawa Bankowego wynika, że ponad 45 proc. badanych klientów czyta umowy bankowe przed podpisaniem pobieżnie, a 13 proc. nie czyta w ogóle. Mało tego, wierzy, że miła pani siedząca po drugiej stronie biurka działa w jego interesie.

Bankowcy z zaskoczeniem obserwują bunt frankowców. Jakby nie mogli wierzyć, że czas bankowej dyktatury się kończy. Twierdzą, że klienci sami są sobie winni, bo ulegli owczemu pędowi zakupów, że nie szacowali realnie swoich możliwości kredytowych.

Nawet mBank, mimo prawnomocnego wyroku, nie schyla z pokorą głowy, tylko zapowiada, że od decyzji Sądu Apelacyjnego w Łodzi złoży wniosek o kasację wyroku do Sądu Najwyższego. Dla poszkodowanych oznacza to dodatkową procedurę i kolejne lata oczekiwania na pieniądze.

Ale doświadczenia konsumentów z innych krajów pokazują, że uruchomiona raz lawina przynosi efekty. W Hiszpanii sąd w Barcelonie uznał w ubiegłym roku, że kredyt walutowy jest produktem złożonym, o charakterze spekulacyjnym, i rozwiązał umowę kredytową jednego z klientów. Oznacza to, że klient musi oddać tylko kwotę kredytu wliczoną na podstawie kursu z dnia podpisania umowy. I to bez

13 proc. badanych klientów w ogóle nie czyta umów bankowych przed podpisaniem, a ponad 45 proc. czyta je pobieżnie

żadnych odsetek. Podobny w skutkach wyrok ogłosił sąd pierwszej instancji w Chorwacji, który rozpatrywał pozew zbiorowy klientów kilku chorwackich banków. Uznał on, że nie poinformowały one należycie klientów o zakresie ryzyka, więc kredyty powinny być przeliczone na walutę lokalną z kursem z dnia podpisania umowy. Jest też wreszcie wyrok Trybunału Konstytucyjnego na Węgrzech, który w wyroku z 17 marca uznał, że można w pewnych sytuacjach narzucić bankom (za pomocą ustawy) unieważnienie niekorzystnych dla klientów umów kredytowych. ■

Niewolnicy franka

Choć ze statystyk bankowych wynika, że kredyty we frankach są dosyć dobrze spłacane, to nie da się ukryć, iż liczba kredytobiorców, którzy nie są w stanie w terminie regulować rat, rośnie. Już w ubiegłym roku ponad 250 tys. kredytów frankowych (z 700 tys. udzielonych) banki uznały za tzw. zwiększone ryzyko, a co najmniej 50 tys. poddano procedurze windykacyjnej, bo przestały być spłacane. Część z nich trafiła na licytacje komornicze. Sęk w tym, że mimo, iż mieszkania zostały sprzedane, to eksmitowani z nich ludzie w dalszym ciągu są zadłużeni po uszy.

Tak jest w przypadku Marty S. z Gdańska, która w 2008 r., gdy frank kosztował nieco ponad 2 zł, zaciągnęła kredyt w szwajcarskiej walucie na kwotę 205 tys. zł. EFG Polbank chętnie podpisał z nią umowę, bo Maria pracowała jako grafik komputerowy w dużym wydawnictwie, nieźle zarabiała. Niestety, dwa lata później przyszedł kryzys, okazało się, że w jej firmie są cięcia kosztów. Jej wynagrodzenie spadło o 40 proc., a co gorsze, rata kredytu wzrosła prawie o 80 proc. Zaczęła zalegać z płatnościami, a w 2012 r., gdy straciła pracę, bank wypowiedział jej umowę i zażądał natychmiastowej spłaty w kwocie 400 tys. zł.

– Nie byłam w stanie temu sprostać. W kwietniu 2012 r. komornik wszedł mi na konto – opowiada Marta S. – Dwukrotnie wysyłałam pismo do banku z prośbą o restrukturyzację zadłużenia, ale nic to nie dało.

W czerwcu 2013 r. mieszkanie sprzedano na licytacji za blisko 150 tys. zł, a Marta wraz z córką musiała się przeprowadzić do wynajętego mieszkania. – Najgorsze jest to, że obecnie mam jeszcze do spłacenia 300 tys. zł, a komornik nadal zajmuje mi większość dochodów. Jeśli nic się nie zmieni, pozostanę niewolnikiem banku do końca życia.

Do tej pory banki sprzedawały zagrożone kredyty hipoteczne firmom windykacyjnym sporadycznie. Teraz jednak, widząc, że coraz więcej osób ma i może mieć problem z płaceniem rat (z danych KNF wynika, że 200 tys. gospodarstw domowych przeznaczają na spłatę ponad połowę swoich dochodów), wolą je sprzedać za 30 proc. wartości zawodowym windykatorom, niż walczyć o kasę z kredytobiorcami. Tak zrobił właśnie Getin Noble, sprzedając firmie Kruk pakiet zagrożonych kredytów hipotecznych o wartości 710 mln zł. To może pociągnąć za sobą wzrost liczby licytacji komorniczych zadłużonych mieszkań i eksmisji. Znowelizowana kilka

lat temu ustawa o ochronie praw lokatorów zliberalizowała bowiem procedurę wysiedlenia dłużników z nieruchomości (jeśli przez pół roku gmina nie zapewni mieszkania zastępczego, dłużnika można eksmitować np. do noclegowni). I choć przedstawiciele Kruka zapewniają, że postępowania sądowo-komornicze to ostateczność dla tych, którzy odrzucą szansę na porozumienie, trudno uwierzyć, iż spółka nie będzie chciała odzyskać jak najwięcej z wyłożonych 230 mln zł na zakup złych długów.

Życie z długiem

Wiele zadłużonych we frankach osób wie, że wartość ich długów przewyższa wartość kupionych na kredyt nieruchomości. Nie wiele mają jednak możliwości manewru. Marta B. wynajęła po prostu kupione mieszkanie i przeprowadziła się do rodziców. To, co dostaje od najemcy, wystarcza jej na ratę. Ale Tomasz T., który w czasach boomu ku-

Z danych Komisji Nadzoru Finansowego wynika, że 200 tys. gospodarstw domowych przeznaczają na spłatę kredytu ponad połowę swoich dochodów

pił ponad 70-metrowe lokum na Białołęce, nie może tego zrobić, bo musiałby znaleźć kogoś, kto da mu za wynajem ponad 2,5 tys. W tej lokalizacji to mało prawdopodobne. Dlatego na razie zagryza zęby i spłaca raty, ograniczając bieżącą konsumpcję. – Staram się przeżyć za 10–15 zł dziennie – mówi. Jedyłą jego nadzieją jest powrót dobrej koniunktury gospodarczej. Liczy na to, że gdy złoty się umocni, jego długi się skurczą.

Tomasz Sadlik, tłumacz z Krakowa, który w 2007 r. zaciągnął w Raiffeisen Bank Polska kredyt hipoteczny w wysokości ponad 290 tys. franków szwajcarskich, co wówczas stanowiło równowartość 600 tys. zł. Kupił za to lokal na biuro. Niestety, w wyniku wzrostu kursu franka jest jeszcze winien bankowi 950 tys. zł, a rata kredytu urosła do 5,5 tys. zł. Bank nie negocjował, tylko odebrał obciążony hipoteką lokal, a ponieważ do spłacenia długu sporo brakowało, zagroził licytacją prywatnego mieszkania i zajęciem pensji byłej żony. Sadlik we wrześniu 2013 r. złożył wniosek przeciwko Raiffeisenowi, motywując go tym, że bankowcy wprowadzili go w błąd, nie informując go w wystarczającym stopniu o ryzyku kursowym.

Regulować czy nie?

Zdania ekspertów, polityków i bankowców na temat problemu kredytów zaciągniętych we frankach są podzielone. Szef Komisji Nadzoru Finansowego oświadczył jakiś czas temu, że nie ma podstaw do systemowego rozwiązania zadłużenia we frankach. Jego koronnym argumentem jest obawa przed pogorszeniem się kondycji sektora finansowego w Polsce, który w wyniku manipulacji przy umowach może stracić 30–50 mld zł. Innego zdania jest jednak np. prof. Krzysztof Rybiński, były szef NBP, czy Piotr Kuczyński, główny ekonomista Xeliona. Nawet Marek Belka, obecny szef NBP, zrugął niedawno lobby bankowe za niedostrzeżenie społecznego problemu długów we frankach. – Kredyty walutowe są społeczną tykającą bombą – powiedział podczas marcowego Forum Bankowego. – Nie dajmy się oszukać, że one nie mają żadnego znaczenia, że ludzie spłacają te kredyty. Nie możemy ot tak, po

prostu tego zostawić na najbliższe 20 lat, bo to będzie nam się czkawką odbijać.

Przypomnijmy, że w latach 2005–2008 kredyty walutowe stały się maszynką do zarabiania dla banków nie tylko w Polsce, lecz i w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Ze względu na różnice w stopach procentowych określanych przez narodowe banki w Szwajcarii i Polsce ten sam kredyt denominowany we franku miał ratę niższą o kilkaset złotych. Nic dziwnego, że cieszył się ogromnym powodzeniem. W drugim i trzecim kwartale 2008 r. udział kredytów z elementem walutowym w nowo udzielanych kredytach hipotecznych dochodził do 80 proc.

Katastrofa nastąpiła po krachu finansowym: frank z 2 zł w krótkim czasie znacząco wzrósł na wartości. W 2011 r. płacono za niego ponad 4 zł. Wartość kredytów udzielonych w tej walucie lawinowo rosta, podczas gdy ceny nieruchomości spadały. I choć na pewno wśród frankowców są również ci, którzy kredyt walutowy chwają sobie za niskie stopy procentowe i niższe niż w złotych hipotekach raty, to nie da się ukryć, że dziesiątki tysięcy rodzin mają problemy. I sami ich nie rozwiązają. ■